

Kronika

tygodniowa

Wojna przewróciła u nas porządek społeczny do góry nogami, jak to zauważyć można w każdej dzisiejszej chwili. Pisma nasze, mające pretensję uchodzić za poważne, rozmaite sprawy traktują ze stanowiska humorystycznego, humorystyczne natomiast, poruszają nlejednokrotnie kwestye bardzo serio, zasługujące na głębszą uwagę.

Otóż zdarzyło się nam spotkać niedawno w jednym z pism humorystycznych artykuł, opowiadający o tem, jak to pewien ojciec wpadł w szewską pasję i sprawił suchą i gorącą łazienkę swojemu pierworodnemu synowi, który przyniósł świadectwo celujące i oświadczył kategorycznie, że szczytem jego marzeń jest oddanie się pracy ścisłej naukowej i osiągnięcie kiedyś stanowiska na przykład kustosa Muzeum Narodowego lub Czartoryskich. Na pozór mogłoby się wydawać, że rodzic nie miał racji i że działał pod wpływem jakiegoś chwilowego rozdrażnienia, po głębszej jednak rozprawie dojdę się musi do przekonania, że słuszność była w całości po jego stronie. Starając się o zapewnienie znośnej przyszłości swemu potomkowi, nie mógł pozwolić na to, aby on samochcąc skazywał się na powolną śmierć głodową, lub spędzenie ostatnich dni życia w przytułku dla ubogich.

Rozsierdzony ojciec miał widocznie żywo przed oczyma smutny los, jaki stał się udziałem niedawno śp. E. Goldsteina, kustosa Muzeum Narodowego i jego dobrodzieja, ostatnio zaś śp. B. Bakupskiego, kustosa Muzeum ks. Czartoryskich. Pierwszy z nich, który całe swe życie i majątek poświęcił na zbieranie dzieł sztuki, a plony swej pracy ofiarował Muzeum Narodowemu w Krakowie w zamian za skromne stanowisko kustosa, mające mu zapewnić egzystencję na stare lata, zmarł w nędzy w paryskim przytułku św. Kazimierza zapomniany przez wszystkich, drugi dogorywał powoli, po czterdziestu dwóch latach ciężkiej i sumiennej pracy odsunięty od umiowanego zawodu, któremu mógł jeszcze dalej służyć, obdarzony „na odczepne” hojną emeryturą w kwocie tysiąc dwieście marek miesięcznie. Sama ta na dalsze stosunki śmiesznie mała, nie uchroniła posiadającego ją od głodowej śmierci. Cóż wiek, kochający ludzi i wierzący im słowo, zeszedł z tego świata zniechęcony i rozgoryczony do wszystkich, a najbardziej z tych, którzy przez bliskie pół wieku korzystali z jego usług, a potem odrzucili go w brutalny sposób, jak sprzęt nie nadający się już do użytku i nie zapewniający bytu na ostatnie lata życia.

Praca w takich warunkach i z nadzieją tak młodego spędzenia ostatnich chwil zasłużonego żywota, nie jest chyba zbyt zachęcającą i miał rację ów ojciec, który w drastyczny ale przekonujący sposób starał się wybić synowi z głowy te głupie mrzonki, mogące go tylko nieszczęśliwie i obrzydzić całe życie, robiąc go ciężarem tak dla siebie jak i dla otoczenia.

W zupełnem przeciwieństwie do tego stoi fakt, na pozór odmienny, ale mający wiele stycznych z poprzednim.

Na ulicy spotkało się dwóch znajomych, jeden z nich majster szewski, zatem człowiek zasobny, drugi także nie biedak, choć nie mający żadnego bliżej określonego zawodu, ot, taki sobie „ptak niebieski, który ani orze ani słońce, a przecież zbiera”. Po chwili przeszedł koło nich jakiś chudziś w wytartym surducie i wykrzywionych butach, którego wygląd zewnętrzny nie świadczył bynajmniej o dobrobycie. Przechodzącego powitał mistrz sławetnego kunsztu szewskiego bardzo czołobitnym ukłonem, co widocznie zaciekało jego towarzysza, gdyż zapytał:

— A kóż to taki?...

— To człowiek, któremu mam do zawdzięczenia mój dzisiejszy dobrobyt. — odpowiedział zagadnięty. Gdyby nie on byłbym z pewnością zeszedł na psy, tak jak tylni molch kolegów, którzy pokrzytyli gimnazjum i dziś klepią biedę, a niejedni z nich serdecznie mi zazdrości.

— Kóż to zatem taki?... — badał dalej znajomy.

— To profesor, który mi dał w pierwszej klasie dwóch z łaciny, a ojciec, nie mając na to, bym powtarzał blaś, oddał mnie do szewca na praktykę. Siedziałem biedaczysko, że mnie w ten sposób ukarze, a ja sam byłem początkowo tego samego zdania. Dziś dopiero widzę, jakie mi swą stanowczością wyświadczył nieocenione dobrodziejstwo, a dla tego profesora, który się bezpośrednio do tego przyczynił, żywię doznaję wdzięczności... Trzeba mu będzie pisać w prezencie parę kamaszków, bo te, które miał na nogach, jak zauważyłem, lada dzień wypowiedzą mu posłuszeństwo.

Czemte bowiem byłbym dziś, gdyby nie jego dwója?... Takim samym budzącym politowanie nędzarzem, jak on i tylni molch kolegów, którym zdawało się, że aobłą świetną karierę kończąc gimnazjum i uniwersytet, a potem obierając karierę urzędniczą. Patrzyli na mnie z pogardą, jak na jakiego wyrzutka społeczeństwa, dziś jednak niejedni z pewnością zazdrości mi w duchu, tak jak ja jemu w mych młodych latach, gdy jeszcze nie miałem rozumu.

Czyż między słowami owego szewca, a czynem ejca, który synowi wybił z głowy mrzonki o karierze naukowej nie zachodzi dziwna, ale smutna analogia? Obaj oni ztwardzają, że praca na polu naukowym dziś bynajmniej nie popłaca i że bez rewolucyj bolszewickiej inteligencja umysłowo pracująca zepchnięta została na plan drugi, gdy natomiast na pierwszy wybiły się sfery, pracujące fizycznie.

Praca fizyczna jest dziś zupełnie inaczej uważana i wynagradzana, jak umysłowa, która straciła zupełnie na swej wartości, lekceważy się ją na każdym kroku, uważając za złą, bez której można byłoby się obejść zupełnie dobrze. Widzimy to, porównując ze sobą dochody dajmy na to szewca, i to bynajmniej nie pierwszorzędnej firmy, ale tak zwanego dawniej „łatacza” z poborami profesora uniwersytetu, który całe swe życie poświęcił nauce, lub choćby kustosa Muzeum Czartoryskich, obdarowanego łaskawie po czterdziestu dwóch latach ciężkich wysiłków emeryturą w kwocie tysiąc dwieście marek miesięcznie!... Otrzymawszy na pierwszego podobne kapitały, dobrze sobie trzeba nałamać głowę, jak ułożyć budżet domowy, aby mogło starczyć na wszystko. Z zestawienia przekonuje się taki nieszczęśliwiec, że obiad może najwyżej zjeść raz w tygodniu, codziennie natomiast może sobie pozwolić na szklankę herbaty (o ile ją naturalnie będzie miał przy czem ugotować...) bez cukru a nawet sacharyny. O leczeniu się na wypadek choroby, ani mowy być nie może, również o sprawieniu sobie jakiejś garderoby, gdy za podziślowanie butów i to dając skórę zapłacić trzeba około pięćset marek. Prawdziwem wybawieniem z takiego życia jest śmierć. Nieboszczyka nie boli już o te głowa, kto i za co go pochowa, płacącym emeryturę spada zaś z budżetu ciężar, iż „niepotrzebnie” wydatki miesięcznie tysiąc dwieście marek.

W takich warunkach coraz szersze warstwy zaczynają się garnąć do pracy fizycznej, jako bardziej popłatnej praca naukowa stracił kompletnie swoją wartość i znaczenie, człowieka zaś, który mimo to chciałby się jej poświęcić, uważać się będzie za nienależnego wariata i aby się pozbyć kłopotu, osadzi się go zażewasa w zakładzie dla umysłowo chorych.

Niechaj zatem rodzice, którym los dzieci leży na sercu, postępują tak jak ów deprowadzony do pasy szewskiej ojciec, a kiedyś doczekają się pociechy, że ich synom będą się wszyscy kłaniać, jako jawnie wielmożnym panom krawcom, szewcom, rzemieślnikom lub piekarzom, a nie oni innym. Mówi się i pisze się o dyktaturze proletariatu, a ma się ją koło siebie i to z dnia na dzień wzrastającą w siłę i potęgę. Niepotrzebnie bolszewicy przeznaczili na agitację rewolucyjną w Polsce osiemdziesiąt milionów rubli, bo i bez tej ich „zapomogi” widzieliśmy już przewrót społeczny na każdym kroku.

Z dnia na dzień rosną wynagrodzenia ludzi pracujących fizycznie i dochodzą takich kwot, które poprostu przyprawiają o zawrót głowy, w ślad zaś za tem idzie i rosnąca coraz bardziej drożyzna, producent bowiem musi także odpowiednio podnieść cenę swych wyrobów lub produktów, aby opłacić koszty. Wystarczy zaznaczyć, że na przykład węgle od stycznia do lipca b. r. podrożały o trzysta procent z tego właśnie powodu, iż górnikom, zajętym przy ich wydobywaniu kilkakrotnie podwyższano płacę. To podrożenie wpłynęło na podniesienie cen wszystkich innych artykułów, w rezultacie nadwyżkę tę pokrył ten, który najmniej posiada, to jest konsument. Ponieważ zaś inteligencja, pracująca umysłowo, nie nauczyła się jeszcze obchodzić się bez wszystkiego i musi zaspakajać choćby tylko najnieodzowniejsze swe potrzeby, podwyżki te odbiły się głównie na niej. Prawda, że i im podniesione wynagrodzenia i płace, ale bynajmniej nie w takim stosunku, aby odpowiadał podrożeniu artykułów codziennego użytku, bez których obejść się trudno. Podwyżką, jaką uzyskali, cieszyli się o tyle, że w miesiącu mogli sobie pozwolić na jakiś nadzwyczajny wydatek, dajmy na to na zjedzenie mięsnego obiadu nie raz w dwa tygodnie, ale raz na tydzień.

Zestawmy teraz budżet miesięczny wiekowego, złozonego chorobą inteligenta, pobierającego aż tysiąc dwieście marek miesięcznej emerytury, a nie posiadającego żadnych oszczędności z dawnych lepszych czasów. Jeśli zapłacić czynsz za mieszkanie i kupić cztery bochenki chleba po dwieście czterdzieści marek, z miesięcznej gaży zostało mu zaledwie na nabycie pudełka zapalek (sześć marek), brakło natomiast choćby tylko na jeden jedyny litr mleka w miesiącu, gdyż dziś trzeba zaś zapłacić siedemdziesiąt marek. A chyba ka-

walek dachu nad głową, cztery bochenki chleba — pudełko zapalek nie wystarczą dla człowieka choćby nawet był zdrow i umiał ograniczać do minimum swe potrzeby. S. p. Blaknpski był zaś człowiekiem chorym, potrzebującym wygód, ratował się też do czasu wyprzedawaniem swej cennej a możnolnie zebranej prywatnej biblioteki, co jednak nie mogło trwać zbyt długo. Przed starcem stanęły widma głodu i niedostatku i one go ukolysały na sen wieczny, który mu pozwolił zapomnieć o dolegliwościach doczesnego żywota i ludzkiej niewdzięczności.

Zupełnie inaczej przedstawia się życie szewca, choćby tylko „łatacza”, pobierającego za przybicie podszewy z dostarczanej mu skóry, co go kosztuje około kwadransu czasu, a niechby nawet i pół godziny, pięćset marek. To też pan majster dziękuje gorąco Panu Bogu, że nie pozwolił mu szukać szczęścia w spinaniu się po kruchych szczeblach drabiny urzędniczej, lub równi pochyłej naukowej pracy, ale dał mu wygodny stołek przy warsztacie szewskim, tak piękne dochody przynoszącym. Pan majster jada też codziennie mięsny obiad, ma kawę i bułeczki rano i w południe, rodzina jego nieczłowieka bodaj raz w tydzień do teatru lub kina, on sam co wieczór na piwo lub miodek, gdy natomiast umysłowo pracujący inteligent jada obiady z głodnej kuchni po dziesięć marek, pija wodę o ile wodociąg nie zawiedzie, a zamiast teatru ma w domu sceny małżeńskie, urządzone bezpłatnie przez magnifikę, nie mogącą sobie darować, że wyszła za niego i musi błędą klepać, gdy natomiast jako żona szewca, krawca lub rzemieślnika, byłaby jasną panią, nie potrzebującą się liczyć z groszem.

Wystarczy zajrzeć do którejś z tak zwanych pierwszorzędnych knajpek (w Krakowie są obecnie wszystkie pierwszorzędne...), aby się przekonać o tej zmianie stosunków. Z dawnych gości ani śladu, miejsce ich zajęli *homines novi*, paskarze i dorobkiewiczowie wojenni, dla których nie było tam wstępu lat temu jeszcze ośm watecz. Dziś nie spotka tam inteligenta pracującego umysłowo, aby „wpadł na wódeczkę”, chyba, że zaprosił go jaki znajomy paskarz lub szewc, wdzięczny za dwójkę otrzymaną w klasie pierwszej gimnazjalnej, gdyż składowała go w sam czas na praktyczną drogę żywota.

W tych warunkach i socjalizm, mający za zadanie walkę o poprawę bytu klas pracujących fizycznie, stracił też rację bytu. Przejedną się zatem szeregi towarzyszy, jak to stwierdził na kongresie socjalistycznym w Łodzi z ubolewaniem ober-towarzystwo Daszyński. Byli towarzysze awansują na burżujów i bardzo im to przypada do smaku, miejsce ich zajęć powinni inteligenci, aby wspólnymi siłami wywalczyć sobie bodaj jaką taką egzystencję i uchronić się od nędzy, a może i śmierci głodowej. Ale inteligenty nie umieją jakoś stanąć zgodnie ramię przy ramieniu, choć tu się rozchodzi o sprawę tak żywotną, nie może się też znaleźć nikt, kto potrafiłby ich w tym kierunku odpowiednio zorganizować i zespółić do jednolitej akcji. Gromada to wielki męt, ostatecznie pokazałoby się, że i bez nich obejść się trudno, a świat nauczyłby się odpowiednio ich cenić i szanować. Chodzenie luzem lub grupami, spodziewanego celu nigdy nie osiągnie, ta podwyżka, jaką otrzymują dzięki tym staraniom, nie będzie zupełnie odpowiadać ich wzmożonemu potrzebom, ale będzie nosić stale charakter jakiegoś odczepnego rzuconego z łaski, aby się pozbyć natrętów.

Takiego galimatjasu narobiła nam wojna i jej „dobroczyńne” skutki. Świat przewrócił się do góry nogami a tego chyba nie pragnęli ci, którzy ją wywołali. Ale i oni sami wyzili na tem najgorzej i dziś z pewnością serdecznie im żal, że zawczasu nie przewidzieli fatalnych następstw. By cesarz Wilhelma ma chyba w Doorn dość czasu do rozmyślań, jak to czasem „Fortuna kołem się toczy”, ale nie po myśli tego, który ją w ruch wprowadził. Austriacki Karolek nad tem nie rozmyśla, sam zajęty przyjemnościami tego żywota, funkcyje te zestawia swojej żonie i ta myśli za siebie i za niego, ale bardzo po kobiecemu. Naprawą stosunków przez koronowane głowy wywołanych, zajęli się zwykli śmiertelnicy, jak na przykład Lloyd George, Lenin i t.d., ale i im idzie to bardzo opakiem. Ani raz wzięli to życie na dawne tory, z których się wykołowało.

